

Stefania i Waldemar Michalscy

Prypeć po raz drugi...

Podobnie jak w roku ubiegłym (2006), tak i w tym, w dniach od 28 kwietnia do 3 maja 2007 r., lubelscy kajakarze spotkali się na Prypeci a dodatkowo spłynęli także Stochodem. Ubiegłoroczna wyprawa prowadziła od miejscowości Ratno do jeziora Lubiaż, leżącego już w obszarze Regionalnego Parku Krajobrazowego „Prypeć – Stochód”. Janusz Michalski, organizator pierwszej wyprawy, marzył o tym by spływy po Prypeci stały się tradycyjnymi wyprawami powtarzаныmi każdego roku. Swoje sprawozdanie sprzed roku zakończył słowami: „zakończyliśmy nasz spływ w maju 2006 roku obiecując sobie, że dokończymy go wiosną roku przyszłego”. Lubelskie kluby kajakowe: Studencki „Kontra” przy PTTK KUL, Lubelskie Towarzystwo Kajakowe „Fala” oraz Klub „Ciernik” przy O.M. PTTK w Lublinie podjęły inicjatywę organizatora pierwszego spływu. Na stronie internetowej ukazała się informacja o możliwości udziału w drugim spływie także kajakarzy spoza Lublina. Z zaproszenia skorzystali wodniacy ze Śląska i Łodzi. Janusz Michalski nie mógł już wziąć udziału w wyprawie. Odszedł niespodziewanie 3 listopada 2006 r. W komunikatach o drugim spływie znalazła się natomiast informacja: ***Wyprawa na Polesie poświęcona jest pamięci JANUSZA MICHALSKIEGO nieodżałowanego kolegi i inicjatora pierwszego spływu Prypecią.***

Na zaproszenie prezesów klubów pp. Witolda Tkaczyka („Fala”) i Szymona Dziury („Kontra”), uczestniczyliśmy w spływie jako rodzice Janusza.

Budowanie tradycji.

Podobnie jak w roku ubiegłym kajakarze wyruszyli sprzed lubelskiego Zamku w sobotę 28 kwietnia o 6.30, kierując się na przejście graniczne w Dorohusku. Dzień wcześniej złożono wieniec i kwiaty na grobie Janusza, obiecując sobie także odpowiednie uczczenie jego pamięci na trasie wyprawy. Wśród 26 kajakarzy znalazły się osoby będące uczestnikami pierwszego spływu a także „nowicjusze” – wśród nich m.in. rodzice Janusza oraz przedstawiciel Biura Promocji Miasta Lublina p. Józef Husarz. Rozpiętość wieku: od młodzieży studenckiej po „wytrawnych” sześćdziesięciolatków. Warto odnotować, że wśród uczestników spływu była także dwuletnia Ewunia Dziurda, która z rodzicami płynęła na ich canoe. Doświadczenia nabyte przy pierwszej wyprawie gwarantowały sukces i satysfakcję „odkrywania obszarów nietkniętych techniczną cywilizacją”. Pogodę zapewniała słoneczna wiosna, jedynie wiatry budziły niepokój. To one w ubiegłym roku zmusiły uczestników do wcześniejszego zakończenia trasy. W tym roku postanowiono rozpocząć spływ na jeziorze Lubiaż koło Lubieszowa – czyli tam, dokąd dotarli uczestnicy poprzedniego spływu.

Lubieszów - jezioro Lubiaż
(sobota, 28 kwietnia)

Przy pięknej słonecznej pogodzie o godz. 12.30, samochody wyprawy z przyczepami załadowanymi kajakami i canoe dotarły do historycznego poleskiego miasta rejonowego Lubieszów. Zatrzymaliśmy się przy „polskim” cmentarzu. Wśród pojedynczych, poprzewracanych i zarośniętych bujną zielenią pomników wyróżnia się metalowy kilkumetrowej wysokości krzyż postawiony w kwaterze wydzielonej symbolicznym płotem. To inicjatywa Straży Polskich Mogił upamiętniająca wymordowanie w listopadzie 1943 r. przez UPA. miejscowych Polaków. Przywieźliśmy ze sobą okazały wieniec z biało-czerwonych kwiatów. Został złożony pod krzyżem. Krótka wspólna modlitwa i chwila refleksji stały się okazją do zadumy nad bolesną historią tej ziemi. A ziemia ta była świadkiem wielu patriotycznych manifestacji, m.in. zrywu napoleońskiego w 1812 roku, powstań narodowych 1794, 1831, 1863 r. (kościuszkowskiego,

listopadowego, styczniowego). Z ziemi tej wywodził się Tadeusz Kościuszko i Romuald Traugutt (dowodził w okolicy powstańczymi oddziałami w 1863 r.). Gdy wędrowaliśmy przez miasteczko Lubieszów widzieliśmy zachowany w stylu klasycystycznym budynek dawnej przyklasztornej szkoły pijarskiej. Uczęszczał do niej Tadeusz Kościuszko wraz ze starszym bratem Józefem. Opuścił ją w 1760 r. ukończywszy m.in. naukę poetyki (młody Kościuszko malował i pisał wiersze). Ponad drzwiami budynku zachowała się do dziś następująca pamiątkowa tablica: *Tu kształcił swą wzniosłą duszę i umysł Tadeusz Kościuszko 1753 -1759.*

Po krótkiej wizycie w tutejszej dyrekcji Regionalnego Parku Krajobrazowego „Prypeć-Stochód” i uzgodnieniu szczegółów wyprawy z dyrektorem Jurijem Olesiukiem umówiliśmy przewodnika na „labirynty” po Prypeci. Uzupełniono również „spożywcze zasoby” na kilkudniową trasę w miejscowym dobrze zaopatrzonym sklepie prowadzonym przez znajomych Witka Tkaczyka – współorganizatora wyprawy. Samochody następnie podwiozły nas do odległego o 10 km. betonowego mostu na Prypeci (droga niegdyś asfaltowa na trasie Lubiaż – Dolsk). Tu o godzinie 17.00 z pełnym ekwipunkiem załadowanym do kajaków, w kolorowych kamizelkach ratunkowych zeszliśmy z trawiastego brzegu na wodę błękitnej Prypeci. Przy pięknej słonecznej przedwieczornej pogodzie, z zachodnim wiatrem „w plecy”, kajaki wydawały się płynąć lekko i majestatycznie. Od mostu do jeziora Lubiaż rzeka meandrowała wśród wysokich podmokłych traw z mieszanym lasem w tle. Bociany i wodne ptactwo nieustannie podnosiło się i zapadało w zielony dywan. Z prawego podwyższonego brzegu mieszkańcy nadbrzeżnego gospodarstwa oferowali świeżo złowione ryby (były pysznym przysmakiem na pierwszą biwakową kolację). Jezioro Lubiaż ukazało się wielką wodą po horyzont. Stanowi największe jezioro w obszarze Krajobrazowego Parku „Prypeć - Stochód” - 510 hektarów otwartej powierzchni.

Biwak zaplanowany został w sosnowym lesku na piaszczystym wzgórzu, dokładnie tam, gdzie Janusz zakończył w ubiegłym roku swój spływ. Tym razem fale na jeziorze były łagodne i życzliwe. Szybko rozbito namioty i rozpalono ognisko. Czesław Cheliński – szef wodniaków klubu „Ciernik” śpiewał za całą kompanię. Przy opowieściach, wspomnieniach i śpiewach ognisko płonęło do późnej nocy. Ukraińska „miodowa z. pieprzem” gwarantowała ciepłą noc pod namiotami.

Jeziro Lubiaż – Swałowicze
(niedziela, 29 kwietnia)

Poranek z odczuwalnym północno-wschodnim wiatrem. Przed wschodem słońca w obozie jeszcze senna cisza, ale na pobliskich mokradłach i moczarach rojno i gwarno od przeróżnego ptactwa. Duże ptaki, przede wszystkim białe czaple, dostojnie wachlują w powietrzu skrzydłami, małe całymi stadami przemieszczają się szybko i gwałtownie, jak kamienie rzucone z miejsca na miejsce. Podobnie jak o zmierzchu, tak i teraz słychać sporadyczne i charakterystyczne buczenie – to bąk sygnalizuje swoją obecność, szuka partnerki. Ruch w namiotach już przy pełnym słońcu. Miłe zaskoczenie: około godziny 8 rano odwiedzają nasze obozowisko mer Lubieszowa i dyrektor Parku Krajoznawczego. Przyłączyli łodzią motorową, obydwaj w strojach straży wodnej, pytanie „czy wszystko dobrze” i życzenia dalszego szczęśliwego pływania. Od Swałowicz dostaniemy przewodnika na tamtejsze labirynty Prypeci.

O godzinie 10 jesteśmy wszyscy na wodzie. Jezioro w słońcu granatowe, pod nami głębia 20-30 metrowa, fale rozbijają się na dziobach kajaków. Ważny i znaczący dla spływu moment ma miejsce na dużej wodzie. Tu Ania Truskolaska rzuca na fale jeziora zalakowaną butelkę z materiałami poświęconymi pamięci Janusza Michalskiego.. W butelce są m.in. Janusza relacja z ubiegłorocznej wyprawy, wspomnienie jego osoby drukowane w „Gazecie Wyborczej” z dn. 13 grudnia 2006 r. i krótki okolicznościowy tekst w języku polskim i ukraińskim.

Z jeziora od wschodniej strony wchodzimy w łagodny nurt Prypeci. Rzeka nieustannie meandruje wśród szuwarów i łoż. Po drodze rozdziela się na kilka nurtów. Wcina się w szuwały. Nasza kajakowa „flotylla” rozciąga się na kilka kilometrów. Pilnujemy się, aby nie stracić z oczu płynących przed nami sąsiadów, z trudem się to udaje, ale na krótkim postoju, po dwugodzinnym wiosłowaniu, na przybrzeżnej porośniętej trawą wydmie meldują się wszystkie załogi.

Od czasu do czasu wśród nadbrzeżnej zieleni i starych drzew pojawiają się pojedyncze poleskie zabudowania. Gdzieś na horyzoncie dostrzegalny jest krzyż cerkiewki lub betonowy słup linii elektrycznej. Około godziny 15 przed nami duża wieś nad samą rzeką. Ładujemy zmęczeni, ale

szczęśliwi. Pogoda i szczęście dopisują. Nie ma tylko Elżbiety i Witka płynących na swoim białym kanu z wypisanym na burcie łódki imieniem „Zbrucz”. Pojawiają się z dwugodzinnym opóźnieniem, jednak bładzili. Lokujemy się na przygotowanym biwakowym obozowisku. Są tu dwa duże drewniane stoły z ławami, zadaszenie kryte trzcina szuwarową i ...przestronna sławojka. Wieś nazywa się Swałowicze.

Mieszkańcy gościnni. Gospodyni najbliższego domu częstuje chlebem własnego wypieku, zaprasza do skorzystania ze studni. Rozmawiamy po polsku. Okazuje się, że wszyscy starsi ludzie z tej wioski mieszkają tu od urodzenia i jako dzieci uczęszczali jeszcze do polskiej szkoły. Jest ich, jak mówi „czterdzieści trzy dusze i jedna krowa”. Młodzi wyjechali do Kijowa, Moskwy. Na nasze pytania kim są, niektórzy odpowiadają trochę niepewnie, że są Poleszukami, większość, że – Ukraińcami. Są prawosławni. W centrum wsi krzyż ustrojony sztucznymi kwiatami i haftowanymi ręcznikami. Do cerkwi daleko. Chaty wiejskie i budynki gospodarcze sprzed dziesiątków lat, zbudowane z bali, nie bielone, kryte strzechą z trzciny (na niektórych dachach eternit). Trzcina o pustych łądogach od wieków używana była tutaj do krycia dachów. Domy zgrabne, niewielkie, z estetycznym wystrojem okien. Ramy okien i drzwi wejściowych malowane na niebiesko. Na podwórkach jeszcze często funkcjonują studnie z żurawiem. Droga przez wieś gruntowa, piaszczysta. Ogólne wrażenie zamierającego skansenu.

Z drewnianej wieży w centrum wsi widok na rozlewiska Prypeci w oprawie szuwarów. Za wieżą - samotna polska mogiła (jak wiele na tej ziemi) za rozsypującym się drewnianym płotem. W okolicy zarysy starej drogi, przy której wiekowe, pomnikowe dęby.

Wieczór ciepły. Dzień kończymy ogniskiem. Przy „klukwie” i „pieprzowej” śpiewy na przemian nasze polskie i miejscowe ukraińskie.

Swałowicze – Nobel
(poniedziałek, 30 kwietnia)

Słoneczny i rześki poranek. Pośpieszne śniadanie i o godz. 10.00 jesteśmy już na wodzie z przewodnikiem Siergiejem. Wiatr zachodni, korzystny, bo w plecy. Siergiej zapowiada atrakcje na trasie. Po dwugodzinnym wiosłowaniu głównym szerokim nurtem Prypeci wodujemy na wysokim piaszczystym wzniesieniu (148 m. n.p.m. – najwyższe w okolicy). Na szczycie bunkier niemiecki z I wojny światowej. Dobrze zachowany. Podobne umocnienia na sąsiednich wzniesieniach. *Bitwy nad Prypecią, Stochodem i Styrem zmusiły Niemców* – pisze F.A.Ossendowski w swojej książce pt. „Polesie” – *do wojny biernej, pozycyjnej – bez nadziei na sforsowanie tej najpotężniejszej, bo naturalnej twierdzy, gdzie wykluczone jest operowanie wielkimi masami wojska*. Po drugiej stronie rzeki ślady rosyjskich umocnień ziemnych.

Spokojne wiosłowanie szeroką wodą pełną zakoli i odnóg. Żadnych widoków, tylko szuwały i woda. Po godzinie z lewej strony mijamy wbity w dno rzeki przy trzcinach metalowy krzyż z tabliczką. Miejsce utonięcia rybaka (wypadł z „duszehubki” i poszedł pod pływający dywan szuwarów). Zbierają się chmury. Niebo i rzeka stają się szare.

Na horyzoncie wieś Młyny. Wszechobecne bocianie gniazda. Postój. Wędrujemy wzdłuż wsi wzbudzając zainteresowanie miejscowych. Rozmawiamy. Dowiadujemy się, że wszyscy mieszkańcy otrzymują zdrowotny dodatek radiacyjny (po Czarnobylu). Sklepowa przyjeżdża i specjalnie otwiera „magazyn”, abyśmy mogli zaopatrzyć się w chleb itp. Coraz chłodniej. Miejscowy człowiek z inicjatywą proponuje gorącą kawę. Pijemy płacąc po 2 hrywny za porcję w jednorazowym kubeczku. Obydwie strony są zadowolone...

Na rzece coraz większe fale i wiatr. Stogi siana na podmokłych łąkach. Przed nami jezioro Nobel i duża wieś na półwyspie o tej samej nazwie. Łądujemy w nadbrzeżnym gospodarstwie (u znajomych Siergieja). W trakcie rozstawiania namiotów dopada nas ostry i zimny wiatr poprzedzający gwałtowny deszcz. Na szczęście krótkotrwały, ale i tak jesteśmy przemoczeni i zziębnięci.

Nobel kiedyś miasteczko ze średniowiecznym grodziskiem – dziś na charakterystycznym wzniesieniu stoi murowana cerkiew z 1927 r. We wsi szkoła (stara przedwojenna drewniana już nieczynna i nowa duża murowana), dwa sklepy, przy jednym coś w rodzaju baru – tu rozgrzewamy się i dosuszamy przy dobrym ukraińskim piwie. Czterogodzinne biesiadowanie w towarzystwie miejscowych młodych Ukraińców. Wieczorem pyszna kolacja (zupa szczawiowa zabiłana i ziemniaki ze śmietaną) przygotowana i przyniesiona do naszego „obozowiska” przez gospodynię, u której, w obejściu,

rozbiliśmy namioty. Księżycowa poleska noc ze srebrną strugą na falach jeziora, tuż przy naszych namiotach...

Nobel – Swałowicze
(niedziela, 1 maja)

Witek Tkaczyk i Szymek Dziurda budzą namiotowiczów radosną wiadomością: „Śniadanie czeka u gospodyni przed domem”. Kopa sadzonych jaj i pyszne pulchne drożdżowe racuchy... (zrzutka po 7 hrywien). Dożywieni, z zastrzykiem nowej energii dosiadamy kajaków. Na wodzie zimny wiatr w twarz. Rozbijające się fale na dziobach kajaków. Chłodno. Siergiej zapowiada powrót do Swałowicz inną trasą. Płyniemy pod prąd i pod wiatr. Coraz większe chmury na horyzoncie. Mimo ostrego wiosłowania kajaki niemal stoją na wodzie. Do Siergieja łodzi z motorkiem „doczepiają się” kajaki ze zmęczonymi załogami, my chętnie korzystamy z zaproszenia Witka. Jego canoe z miniaturowym silniczkiem radzi sobie wybornie, choć co rusz trzeba napędową śrubę oczyszczać z wodorostów.

Płyniemy przez poleską dziką, bezludną krainę, gdzie króluje rzeka, sitowie, łoża, wikliny i otaczające je bagna. Na horyzoncie zarysy lasów. Krótki odpoczynek na przybrzeżnej łące. Gniazda ptasie z jajami (kaczymi?). Roje ptaków nad głowami. Krajobraz niewiele się zmienił od czasów, gdy opisywał go Julian Ejsmond:

W przymglonych szuwarach słyhać (...) tajemniczy głos bąka. Gdzieś w górze w miarowych odstępach odzywał się dudniący odzew bekasa, a śniące we mgle oczerety pełne były gwaru kaczych zalotów (J. Ejsmond: „Moje przygody łowieckie”).

Ciężka, czarna chmura nad nami. Gwałtowny podmuch i ...śnieżna zadymka. Przytulamy się gromadnie do sitowia. Kajaki białe, twarze zasypane śniegiem. Na szczęście po 15 minutach „tak jak przyszło, tak odeszło”. Płyniemy dalej. Za nami dwie godziny wiosłowania, przed nami drugie tyle.

Z ulgą lądujemy w znajomych Swałowiczach. Namioty rozbijamy za górką, za wiatrem. Ryby, kolacja, ognisko. Zapowiedź ochłodzenia w nocy do minus 5 stopni. Wciągamy na siebie wszystko, co ciepłe i suche. Wiatr trzepocze namiotami. Sen przychodzi szybko...

Stochód
(środa, 2 maja)

Nazwę rzeki miejscowi tłumaczą, jako „chodzącą setką dróg”. Jest częścią wodnego kompleksu Prypeci. Nieustannie się z nią łączy i dzieli. Jest węższa (10 do 40 metrów) i płytsza od Prypeci. Nieustannie meandruje. Zmusza płynących do ciągłego czuwania i zmian kierunku. Płyne wśród bagien, oczeretów i obumierających lasów. Nieprawdopodobne, jak mogli ją forsować legionści polscy w krwawych bojach 1915- 1916 r.

Płyniemy ze Swałowicz Prypecią, by po półgodzinnym wiosłowaniu wejść w nurt Stochodu. Wcześniej rozpoznaje drogę „z kajakowego marszu” Basia Wawerek – jedna z najsprawniejszych kajakarek naszego i zeszłorocznego spływu. Magiczna rzeka w zielonej bujnej oprawie. Wiosłujemy pod prąd, nurt spokojny, mijamy kilka „bramek” grodzących rzekę. Trzeba dużej sprawności, aby wejść łódką w niewielką bramkę przy spiętrzoną przeciwnym nurcie. W powietrzu silny zapach mięty gęsto porastającej brzegi. Płyniemy przez resztki starej zamierającej puszczy. Pisał o niej już F.A.Ossendowski: *Deby, sosny i brzozy, co uczepliły się korzeniami torfowej gleby na moczarach, rosną również szybko, nieświadome, iż dążą do samobójstwa, przebiwszy bowiem powłokę przegniłych obfitych w nawóz roślinny gleb, korzenie ich docierają do kwaśnych jadowitych torfów, do cuchnącej – „zgnilej” wody, niosącej śmiertelną truciznę. Koszlawe, nędzne, słabe okrywają się te drzewa siwymi liszajami, tracą liście i igliwie, tkwiąc na bagniskach, smutne, porzucone, jak te częste krzyże na pohostach.*

Mijamy liczne żerzenie bobrowe wielkości dużych namiotów. Szymek sygnalizuje obecność łośia, my dostrzegamy wydrę, spokojnie schodzi z pnia do wody. Zdumiewająca uroda pierwotnej rzeki...

Po dwóch godzinach wiosłowania przystanek. Wyniosły, suchy brzeg. Nieopodal, wśród wysokich drzew samotna niebieska cerkiewka. Obok rolnik orze ziemię. Gniady, niewielki koń, jednoskibowy pług, ziemia na poły piaszczysta i torfowa a za rolnikiem... pięć bocianów wybierających przysmaki ze świeżych bruzd. Piaszczystą drogą obok docieramy do wsi Buczyn. Wieś, jak poprzednie, w urokliwej bieli kwitnących sadów (szczególnie grusze i wiśnie). Ostre, chłodne, ale słoneczne powietrze. Fotografujemy barcie i ule-kłody zawieszane na drzewach. Ule ustawia się tu na konarach drzew w obawie przed corocznymi wylewami. We wsi sklep, przystanek autobusowy („na telefon” do Lubieszowa, za Buczynem droga kończy się w bagnach), drewniany budynek z ganeczkiem „domu kultury”, w połowie zrujnowany, ale z działającą jeszcze biblioteką. Po drugiej stronie piaszczystej ulicy nowy murowany pawilon „domu pomocy społecznej” dla samotnych i starych ludzi. Wieś ma kilka krzyżujących się ulic z tabliczkami nazw: m.in. „Peremogi” i „Szkołna”. Robi wrażenie wyludnionej, choć za firankami drewnianych domów widać obserwujące nas twarze.

Płyniemy. Nurt coraz węższy, zakrętów nie ubywa. W zielonej, bujnej oprawie cisza południa. O godz. 15 dopływamy do starego drewnianego dużego mostu, a raczej jego resztek (jeszcze z czasów polskich). Krótki postój z małą przekąską przy ognisku, kilka fotografii, m.in. z oryginalnym, uplecionym z trzciny stożkowatym wiewiórczem, zastawionym na ryby w dopływie rzeki. I dalej...

Wpływamy w boczny nurt Stochodu. Kierunek: betonowy most na drodze Pożóg - Lubieszów. Niełatwo trafić w odpowiednią odnogę Stochodu. Staszek Pasicki i Czesław Cheliński płyną „na rozpoznanie”. Z daleka widać sygnał - podniesione wiosło. Płyniemy za nimi. Konary w wodzie i gałęzie tuż nad rzeką. Brzegi coraz bliżej siebie i bagienna roślinność niemal zamyka drogę. Jest most. Przebijamy się przez szuwały, grązele i powoje do piaszczystej wydmy, wzniesienia. W piękną słoneczną przedwieczną rozbijamy namioty. Do późnych godzin wieczornych płonie ognisko – śpiewy na przemian z wodniackimi opowieściami i wspomnieniami Janusza (który na pewno jest wśród nas!). Kończy się kolejny dzień II Spływu po Prypeci – Stochodzie. Już przyjechały samochody po nasz ekwipunek. Jutro rano „suchą drogą” do Lubieszowa.

Lubieszów
(czwartek, 3 maja)

W Lubieszowie zamykamy pętlę naszego spływu. Jest trochę czasu, aby zjeść w restauracji obiad za symboliczne pieniądze i zobaczyć miasto. 3 Maja jest tu dniem normalnej pracy. Na ulicach i w sklepach ruch małomiasteczkowy. Pomnik Lenina w centrum ma się zupełnie dobrze. W dawnym zespole klasztornym oo. kapucynów rezyduje milicja, ale kościół rzymsko-katolicki jest już czynny. Świeżo odrestaurowany (do niedawna była tu sala gimnastyczna). Dziś zamknięty. Na niedzielne nabożeństwa ksiądz dojeżdża z sąsiedniego Kamienia Koszyrskiego. Uczestnicy spływu przywieźli ze sobą wianek z napisem na szarfie: *Pamięci Janusza Michalskiego – organizatora I Spływu po Prypeci – kajakarze lubelscy*. Zostaje on zawieszony u stóp Matki Bożej na figurze ustawionej przed kościołem. 3 Maja dokładnie przypada pół roku od śmierci Janusza. Biało-czerwone kwiaty wieńca mają także dziś szczególną świąteczną wymowę.

W Lubieszowie zachowały się także budynki klasztorne oo. Pijarów, w których przez ponad 150 lat mieściło się słynne kolegium na Wołyniu (uczniami byli m.in. wspomniany już Tadeusz Kościuszko oraz Kazimierz Narbutt (historyk) i Stanisław Jundziłł (botanik)). Zabytkowy kościół przyklasztorny rozebrano do fundamentów dopiero w 1971 r.

Z Lubieszowem związane są dzieje rodów m.in. Dolskich, Wiśniowieckich i Czrneckich. Jediną pozostałością po magnackich rezydencjach jest dziś zespół parkowy z monumentalną barokową bramą pałacową.

W okolicy działały silne radzieckie oddziały partyzanckie, w których służyli także Polacy. Gdy zmuszone zostały przez Niemców do wycofania się w głąb lasów, grupy Ukraińców, ogarnięte szałem mordowania, dnia 9 listopada 1943 bestialsko zabiły tu około 300 Polaków (w tym ponad 100 mieszkańców pobliskiej wsi Rejmontówka). Wielu z nich spalono żywcem. Śledztwo w sprawie tej zbrodni prowadzi poznański Instytut Pamięci Narodowej.

Korzystamy z uprzejmości naszego przyjaciela Rafała Hawryła, który zabiera nas swoim samochodem do Lublina. Pozostali uczestnicy spływu jadą jeszcze 300 kilometrów na południe Wołynia, aby popływać po Korczyku i Słuczy.

Szymon dziurda

Korczyk , Słucz po raz pierwszy

W Lubieszowie kończymy pierwszą część naszej wyprawy rzekami Wołynia.

W doskonałych nastrojach przy pięknej pogodzie jedziemy na południe. Wieczorem dojeżdżamy do Korca, niewielkiego miasteczka leżącego na rubieżach II RP. Późna pora nie pozwala nam dokładnie zwiedzić miejscowości. Robimy szybko zakupy zastanawiając się gdzie zanoć. Nieoczekiwanie z pomocą przychodzi pan Malinowski , polak z pochodzenia. Słyszac polską mowę oferuje nocleg u swojej rodziny zamieszkałej nad jarem Korczyka. Noc zapowiada się mroźna więc szybko wskakujemy w śpiwory, nocą temperatura spada do -5st.C.

Pomysł aby udać się w ten rejon zrodził się w mojej głowie podczas wyprawy rowerowej w 2005 roku. Zaopatrzeni w przewodnik pana Rąkowskiego „Wołyn” przejechaliśmy z kolegą 700km odkrywając wiele pięknych i ciekawych miejsc z dala od głównych dróg i miejscowości. Stając wtedy nad brzegiem Słuczy wiedziałem że muszę tu wrócić!

Jedynie dostępne informacje na temat tych okolic można znaleźć we wspomnianym przewodniku”Wołyn”G.Rąkowskiego oraz w „Ilustrowanym przewodniku o Wołyniu” dr. Mieczysława Orłowicza z 1929 roku, gdzie czytamy:

*Największym z dopływów Horynia jest **Słucz**. W granice Wołynia wpływa na północ od Korca niedaleko ujścia Korczyka. Odtąd aż po Hubków tworzy piękną dolinę wśród skał granitowych, a okolica tamtejsza, posiadająca liczne osobliwości przyrody, jest nazywaną Szwajcarią Nadśluczańską. W dolnym biegu dzieli się, podobnie jak Stochód na setki ramion, na wschód od Sarn i Niemowicz. Słucz jest splawną tylko w miesiącach jesiennych. Pozatem splaw utrudniają skały granitowe w korycie rzeki. Brzegi przeważnie zalesione. Z miast i miasteczek leżą nad Słuczą tylko Ludwipól, oraz Berezno, pozatem Hubków z ruinami zamku.*

*Największym z dopływów Słuczy jest rzeka **Korczyk**, nad którą leży miasto Korzec, a która na północ od niego tworzy granice polsko-rosyjską. Korczyk tworzy piękną dolinę, przebijając płytę granitową, a w okolicy Korca brzegi doliny zdobią granitowe skały.*

Korzec

(piątek 4 maja)

Rankiem zwiedzamy miasteczko. Między Rynkiem a jarem Korczyka stoi na granitowej skale ruina zamku ks. Czartoryskich. stąd rozpościera się piękny widok na rzekę toczącą swe wody głębokim jarem. Wystające skały granitowe i wysokie urwiska zapowiadają zupełnie inne atrakcje podczas spływu. W Korcu mieszka niewielka społeczność polska. Jest kościół i cmentarz rzymsko-katolicki. Na miejscowym targowisku robimy zakupy

CDN...